

Heathrow. Jest godzina 8:00 „in the morning”. Stewardessa pyta, co byś zjadł na śniadanie. Odpowiadasz: – Continental, please. Okay, then. Za chwilę przynosi ci półmisek z „ham and eggs”: olbrzymi plaster przysmażonego bekonu z dwoma sadzonymi jajami. Do tego „a plenty of coffee” (tak, jak zamówiłeś) i coś tam jeszcze na deser. A droga do tego londyńskiego śniadania była następująca. Dzięki Tadeuszowi Lutemu Prof. Allan Leadbetter zaprosił nas obu na posiedzenie „Faraday Society”. Wygłasza się tam referat, po którym jest dyskusja (trudna sprawa – oni są dociekliwi, a mnie stale brakuje przymiotników) a następnie drukuje się je w „Transactions of the Faraday Society”. Więc siedzę sobie w ławce w sali wykładowej i czekając na moją kolej, myślę: „Luty to się lepiej urządził, niż ja. Zaprosił do współautorstwa Munna i teraz ma święty spokój, bo to Munn będzie referował i odpowiadał na pytania. A ja będę musiał sam się męczyć z audytorium za pomocą mego kiepskiego angielskiego”; jakoś jednak poszło – Leadbetter mi pomógł. Potem było jeszcze sporo innych referatów, wspólny lunch, na którym Leadbetter postawił mi zniecałkane pytanie: „Słuchaj, czy Politechnika dała wam jakieś pieniądze na wyjazd?” – a ja przyznałem się, że każdy z nas dostał 7 GBP, co wystarczyło na śniadanie i metro. Leadbetter popatrzył na mnie, a nazajutrz rano każdy z nas dwóch zainkasował po 50 GBP z kasy Faraday Society za nigdy nie wykonane prace. Później nastąpiło oglądnięcie parady przed pałacem Buckingham i powrót metrem na Heathrow. Luty już poleciał do Warszawy, ja zaś czekam na wieczorny samolot do Krakowa, bowiem nazajutrz ma się tam odbyć obrona pracy doktorskiej asystentki w Zakładzie prof. Janika, w której muszę wziąć udział (drugi recenzent nie przybędzie). Ale samolotu nie ma i zapowiadają, że nie będzie. Jest jeszcze jeden lot koło północy – jednak pasażerowie z dwóch lotów nie wsiądą do jednej maszyny. I rzeczywiście tak jest: przed odlotem robi się tumult przy wstępie na płytę. A że nigdy przebojowy nie byłem i głosu tubalnego nie mam, zostałem z garstką pasażerów o północy na Heathrow. Zebrano nas razem; stewardessa wyjaśniła, że za chwilę zawiozą nas do pobliskiego hotelu gdzie przenocujemy na koszt British Airways. Polecimy do kraju jutro przed południem. W tej sytuacji moja sprawa zawisała na włosku – czy zdążę na czas do Krakowa? Na prośbę kierownictwa portu przeprosiłem czekających pasażerów za perturbacje i wyjaśniłem, co mamy robić dalej. Kilka osób wołało jednak przenocować (dla pewności?) na lotnisku.

Nazajutrz byłem w porcie o ósmej rano, gdzie już na nas czekali. Zaprowadzono nas do restauracji, znowu na koszt przewoźnika. I znowu stewardessa prosi w imieniu linii lotniczych by zapowiedzieć po polsku, „żeby pasażerowie unikali paniki, bo wszystko już jest pomyślane. Za chwilę podstawiają samolot do Polski i dla wszystkich pasażerów z poprzedniego dnia miejsca są zarezerwowane”. Podają ci mikrofon, z pomocą którego ogłaszasz publicznie to, co usłyszałeś przed chwilą.

Samolot podstawili koło południa. W Krakowie wpadłem w objęcia obojga Janików, którzy czekali na mnie swoim samochodem, a w chwilę później w jeszcze miłsze objęcia Róży, która – wielce zaniepokojona – czekała od wczoraj w hotelu, gościnnie ulokowana tam przez Janików. Obrona rozpoczęła się z półgodzinnym opóźnieniem, ale zakończyła szczęśliwie przyznaniem stopnia doktora, już bez dalszych perturbacji.

## 10. Przezrocza z Kanady

Kanada przyciągała mnie od niepamiętnych czasów swym urokiem krainy bogatej w geograficzne niespodzianki, legendą indiańską i nieskażoną przemysłem przyrodą. Jak tysiące polskich dzieci zaczytywałem się licznymi tomami powieści Karola Maya o pierwotnym życiu Indian i ich przygodach, pachniał udziec jeleni pieczony nad ogniskiem – zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że to bajka – w wielu miejscach autor tych „opowieści” nigdy nie był. W latach młodości czytałem prawdziwe i jakże barwne opowieści Arkadego Fiedlera („Ryby śpiewają w Ukayali”, „Kanada pachnąca żywicą”, „Orinoko”). Później wabiła mnie Kanada urokiem Niagary, spotęgowanym niezapomnianym filmem fabularnym o tym samym tytule. Ale wiedziałem także, że nie ma żadnych szans na urzeczywistnienie tych marzeń: nie miałem potrzebnej do takiego życia tężyzny fizycznej, nigdy nie lubiłem geografii i nigdy nie byłem dość zasobny w środki płatnicze. Jedyne, który kazał mi myśleć w ogóle o podróży do jakiegoś innego kraju, wiązał się z Nauką – z przeświadczeniem, które ktoś mi zaszczerpił, że adept, poważnie myślący o nauce,

powinien poznać pracę przynajmniej w jednym laboratorium zagranicznym. Ale Kanada była stale sprawą bardzo odległą.

Niedługo po zakończeniu doktoratu (były to lata sześćdziesiąte) prof. Gumiński doszedł do wniosku, że powinienem odbyć staż w jakimś innym ośrodku naukowym i nauczyć się nowych rzeczy. Za granicą kontaktów nie miał – zarekomendował mnie więc prof. Sosnowskiemu, który był wówczas dyrektorem Instytutu Fizyki PAN w Warszawie (przy ul. Hożej). Pojechałem tam na kilka miesięcy odwiedzając Wrocław tak często, jak tylko się dało. Zajmowałem się w Pracowni Sosnowskiego wpływem ciśnienia hydrostatycznego na przewodnictwo elektryczne arsenku galu, który miał „wąską przerwę międzypasmową”. W szczegóły wdawać się nie warto, ponieważ nauczyłem się wprawdzie wielu nowych i ciekawych spraw (które mi się później do niczego nie przydały), ale publikacji z tego nie było. Kiedy zebrałem wszystkie wyniki i zreferowałem Sosnowskiemu stwierdził, że powinienem coś do publikacji napisać, ale on w niej udziału nie weźmie. Zrozumiałem, że wyniki były zbyt mało znaczące (choć z ciśnieniem podszedłem do 9000 atmosfer), żeby wielki Sosnowski mógł w czymś takim współuczestniczyć. Sam wyników nie opublikowałem nie chcąc stwarzać pozorów, że coś tu może być nie w porządku.

Sprawa stażu odżyła w następnej dekadzie, w tzw. „okresie gierkowskim”. Naukowcy już często wyjeżdżali zagranicę – mnie też ciągnęło „gdzieś dalej”. Może do USA? Nie znając jednak nikogo w Stanach, napisałem w przypływie odwagi list do jednego z amerykańskich Uniwersytetów z ofertą asystentury. W tym też okresie byłem w Anglii, wciągnięty przez Tadeusza Lutego do uczestnictwa w posiedzeniu Faraday Society. Rozmawiając często z profesorem Alanem Leadbetterem, szefem sesji, zwierzyłem mu się z kłopotów. Nie bardzo miałem ochotę jechać do Stanów – nawet gdyby mnie tam chcieli – ponieważ w owym Laboratorium zajmowali się fizykochemią związków klatratowych, co stanowiło dziedzinę dość odległą od moich dotychczasowych doświadczeń. I Alan powiedział wtedy do mnie coś w rodzaju: „Na razie nic więcej nie rób – czekaj, co odpowiedzą. Ja mam dobrych znajomych w Kanadzie, w Hamilton i zaraz do nich o sprawie napiszę. Myślę, że oni znajdą coś ciekawszego.”

Ze Stanów przyszła propozycja stażu, ale zwlekałem z odpowiedzią czekając na list z Anglii, który też niebawem nadszedł. Leadbetter

donosił, że porozumiał się z dyrektorem Instytutu „Senior Sciences”<sup>27</sup>, profesorem Jimem Morrisonem. Mają dla mnie roczne stypendium w tym Instytucie od zaraz (rozpoczął się właśnie rok akademicki 1979/80), a wkrótce nadeszło z Kanady oficjalne zaproszenie. To mnie zelektryzowało.

O tym jednak, żebym wybrał się „zaraz”, nie mogło być mowy. Po pierwsze nie mieliśmy paszportów (od początku sprawę stawiałem tak, że bez Żony nie wyjeżdżam). Po wtóre, musieliśmy poddać się specjalistycznym badaniom medycznym, nałożonym przez Kandydyjeków. Badania te (łącznie z rtg płuc) wykonywano w desygnowanych przez nich klinikach w Warszawie.

To wszystko wymagało czasu. Po drodze zrobił się grudzień, a w nim nastał stan wojenny. Pomyślałem: „Mój Boże, dlaczego to wszystko spada na nas teraz, kiedy jesteśmy tak blisko realizacji?” I pomoc przyszła. Nasze wyniki badań okazały się O.K., także wizyta w Ambasadzie Kanadyjskiej wypadła pozytywnie. Dodatkową furorę w warszawskiej wyprawie zrobiła Róża swoją wspaniałą pieczęcią nadziewaną kurą. Było to coś pysznego: danie mieliśmy w aluminiowych pojemnikach, zwracających powszechną uwagę. Sporo ludzi zapytywało, gdzie można kupić coś takiego – w tym czasie, kiedy w bufecie (dworcowym? lotniczym?) nic do jedzenia nie było.

Napisałem do Stanów, że nigdy w dziedzinie takich związków nie pracowałem i szukam oferty bliższej tematycznie moim zainteresowaniom.

W grudniu 1981 miałem już paszport i uzgodniony z „Orbisem” termin odlotu. Na moje gorączkowe nalegania w sprawie paszportu Róży<sup>28</sup> odpowiedź brzmiała: „jeszcze nie gotowy. Proszę czekać”. Wybrałem się tedy do Pionu Współpracy z Zagranicą po raz któryś z rzędu i stanowczo oświadczyłem, że „bez Żony nigdzie się nie ruszę”. Być może, iż to był szantaż z mej strony. Być może, że Politechnika uruchomiła już potrzebne „spusty”, nie zamierzając Róży wypuścić. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że po próbie UB wciągnięcia Róży do kolaboracji i jej stanowczej odmowie, zrezygnowali w końcu z dalszego nacisku? Róża była wzywana na taką rozmowę, ja – nie. Trochę później Politechnika próbowała wysłać mnie samego, obiecując że Róża też rychło wyjedzie. Nie zgodziłem się. W dodatku stała się rzecz przedziwna. Pewnego dnia sekretarka Pionu powiedziała do mnie: „Proszę mi jeszcze pokazać pański paszport”. Kartkowała w

nim przez chwilę (czego tam właściwie szukała?), po czym wykrzyknęła: „cóż oni tu wypisywali?! W pana nazwisku brak litery h!” Próbowałem sprawę zlekceważyć, ale ona była stanowcza. „To niedopuszczalne!” – powiedziała – „jeśli nawet wypuszczą pana z tym paszportem, to na pewno nie będzie mógł pan wrócić, bo nazwisko jest niezgodne z pańskimi innymi dokumentami!”

Oooo – to mi dało wiele do myślenia! „Niech mi pan zostawi paszport” – kontynuowała Stasia (sekretarka) – „zaraz wsiadam do samochodu i jadę do biura paszportowego. Muszą z tym coś zrobić”. I wtedy dowiedziałem się dwóch rzeczy na raz: po pierwsze – paszportów nie wypisywało się w żadnej Warszawie, lecz w KMMO we Wrocławiu. Po wtóre, realnie potrzebny czas na wykonanie dokumentu wynosił 3 (słownie trzy) dni – po tym terminie miałem już najnowszy paszport. Także i Róża swój w końcu dostała i – choć jeszcze bez poczucia ulgi – mogliśmy pomyśleć o wybraniu się w drogę.

Wsiadliśmy wreszcie do samolotu (była już druga połowa lutego 1982), mając przy sobie około 200 \$ USA, wymienionych w Kraju. Mimo stanu wojennego i wszechobecności wojska, nie było z przekroczeniem granicy ani z podróżą szczególnych kłopotów. Zabraliśmy „w bagażu” poczucie osierocenia naszej rodziny: Mamy, którą trzeba było się opiekować, Krzysztofa z Renią i Włodka, którzy też całkowicie samodzielni nie byli. Mogę sobie zaledwie wyobrazić, jak trudno było połączyć ich własne, rozliczne obowiązki z opieką nad domownikami i utrzymaniem całego domu z dbałością o wysoki poziom wdrożony przez Różę. To dzięki ich pracy i poświęceniu Dom przetrwał w niezmięnionej kondycji do naszego powrotu.

Wylecieliśmy wczesnym popołudniem. Prawdę mówiąc, wyglądało to tak: w pewnym momencie zapuszczono silniki i nastąpiło kołowanie do startu. Na razie widzieliśmy, że pozycja samolotu zmienia się wobec zabudowań na lotnisku, potem start – wtedy jeszcze coś można było zobaczyć, ale później godzinami towarzyszyło nam uczucie zawieszenia w próżni w stanie spoczynku. „To wszystko bujda” – powiedziałem do Róży – „nie wierzę, że gdziekolwiek lecimy. Zamknęli nas po prostu w pudle, w którym stale coś buczy, ale dokoła nas nic się nie zmienia. Dopiero kiedy się okaże, że wypuszczą nas stąd nie w Warszawie – uwierzę”.

W czasie lotu dostawaliśmy posiłki – obiad, kolację, śniadanie – i coś do picia. Dodatkowo stewardesy kusily pasażerów wózkami

pełnymi różnych frykasów i alkoholi, demonstracyjnie przemierzając kadłub samolotu tam i z powrotem. Wszystko było do kupienia, po cenach „bez słowych”, ale wszystko, oczywiście, za dolary. Jedzenie, które dostawaliśmy, było jednak doskonałe i w wystarczającej ilości – przysmaki mogły poczekać. Wcześniejsze i późniejsze doświadczenia wskazywały, że najlepiej dawano jeść na liniach LOT – u.

Lecieliśmy nad biegunem – ale z wysokości 14 000 metrów stale nic nie było widać. Za to coraz bardziej chciało nam się spać. Stewardesy rozdzieliły koce do przykrycia, pochylały oparcia foteli i zachęcały do spania. Zdrzemnęliśmy się trochę i my – bardziej ja, niż Róża.

Stopniowo robiło się coraz jaśniej, kiedy zaczęliśmy „spadać” z Bieguna Północnego po drugiej stronie półkuli północnej. To już była Kanada i wtedy także krajobraz zbliżył się do nas – lecieliśmy niżej. Widać było niezliczone ilości jezior wśród lasów i gór. Padał gęsty śnieg, kiedy przemierzaliśmy ogromny obszar nad jeziorem Ontario. Nagle skończył się całkowicie czarny obszar wody, a pojawił się znowu biały – zbliżyliśmy się do Montrealu. Wylądowaliśmy precyzyjnie, jednocześnie wszystkimi kołami olbrzymiego odrzutowca; rozległy się rzęsiste, długo nie milknące brawa dla kapitana.

Wreszcie wypuszczono nas z pudła. Pod nogami chrupiący śnieg i płyty lodu, przed oczyma budynek z olbrzymim napisem „AIR-PORT – MONTREAL – CANADA”. To robiło wrażenie! A potem – „już nic nie było takie, jak dawniej”<sup>29</sup>.

Odebraliśmy bagaże; przed wyjściem z lotniska trzeba było wpięrw zameldować się w Immigration Office. Nie było z tym problemów, ponieważ Morrison przysłał mi z McMaster „przyrzeczenie zatrudnienia” w Uniwersytecie. „Immigration Officer” coś sobie tam zanotował.

Samolot Montreal – Hamilton startował, oczywiście, z lotniska linii krajowych. Czasu było dość – wypiliśmy kawę przegryzając jakimś keksem i poleciliśmy w dalszą drogę. Gdzieś na tej trasie minęła pierwsza doba od czasu, jak byliśmy w podróży. Spać chciało mi się okropnie – a co dopiero Róży, która – jak wiadomo – w żadnym pojeździe nie zmrzyła oka.

W Hamilton parokrotnie przemierzaliśmy halę przylotów. Nie tylko nie było orkiestry na nasze powitanie, ale nikt nawet nas nie oczekiwał – trzeba było zadzwonić do Morrisonów, których numer telefonu na szczęście miałem z sobą.

Coś też już wiedziałem o rozmowach międzymiastowych, ale tutaj było to o wiele za mało. Obserwując moje poczynania strażnik zaofiarował swą pomoc, na co skwapliwie przystałem. Po chwili w słuchawce rozległ się głos damski, który zorientował mnie, że połączenie jest dobre. Zacząłem więc tłumaczyć naszą sytuację: „Przylecieliśmy właśnie z Wrocławia, z Polski, jesteśmy na lotnisku.” W odpowiedzi usłyszałem raczej szorstkie pytanie:

– So what?! (Więc co?!)

Trochę mnie to zmieszało, a jednocześnie uświadomiło, że moja rozmówczyni zupełnie „nie kontaktuje”. W przystępie rozpaczyci rzuciłem:

– Can I, perhaps, talk to Dr Morrison?

– Just a second! – odrzekł głos.

Bieg tej rozmowy dość dokładnie pamiętam, ponieważ prowadzona była w stresie, w zupełnie obcym środowisku. W dodatku oboje z Różą potrzebowaliśmy już wypoczynku, a jeszcze bardziej życzliwości.

Po chwili zgłosił się Morrison, który z miejsca wiedział o czym mówię. Kazał nam zostać, gdzie jesteśmy i zapowiedział, że już wyjeżdża po nas. Teraz już mogliśmy odetchnąć z ulgą – ktoś inny przejmował pałeczkę.

Nasze rozpoznanie było wręcz natychmiastowe: on wiedział od razu, że jesteśmy przybyszami, ja zaś – że to musi być właściwy człowiek. Po drodze gawędziliśmy o podróży i o przyjęciu przez „Immigration”. Zawiózł nas do swego domu i przedstawił rodzinie: żonie (Irena) i jednej z córek (Kathy) – on sam miał na imię Jim. Na nasze przyjęcie (w Polsce trzecia rano!) chłodził się szampan, a „na zagryzkę” była doskonała zupa selerowa<sup>30</sup> z grzankami (nic więcej nie mogliśmy przełknąć). Okazało się, że Morrisonowie seniorzy są nieco starsi od nas, a Irena (to ona rozmawiała ze mną) jest bardzo miłą i bezpośrednią osobą. Przyszykowała nam wytworny pokój do zamieszkania, na piętrze, z „prywatną” łazienką.

Nazajutrz Jim pojechał do pracy, a my zostaliśmy „oko w oko” z Ireną. Nasza żywa chęć przyścia jej w czymkolwiek z pomocą spotykała się z odporą: do krojenia pieczywa była elektryczna krajarka, naczynia zmywał „dishwasher”, itd. Po śniadaniu Irena zabrała nas swoim samochodem na Uniwersytet. Jim zademonstrował, że już przykleja się wizytówkę na drzwi mojego pokoju. Pokazał też swoje „biuro”, sekretariat, bibliotekę i zamówił wizytę u Rektora, którego

tu zwał President of the University. Zjedliśmy także „lunch” w klubie uniwersyteckim. Po wstępnym „drinku” Morrison, znudzony obustronnym tytułowaniem oświadczył, że on jest „po prostu Jimem”, jego żona zaś „po prostu Ireną”. Wobec tego my zostaliśmy „po prostu Rosą i Josephem”.

Na drugi dzień pojechalśmy ponownie na Uniwersytet. Tam już czekała na mnie zaliczka, którą Morrison kazał mi wypłacić bez żadnej inicjatywy z mej strony. Otrzymaliśmy, jak na nasze przyzwyczajenia, niewiarygodną furę pieniędzy: 1000 dolarów!<sup>31</sup>. Po minięciu chwilowego szoku zabrała nas Morrisonowa na przejażdżkę po mieście dla pokazania „Downtown”. W żaden sposób nie mogłem skojarzyć tej nazwy („Dolne Miasto?”) z centrum Hamilton i stojącymi tam drapaczami. Dopiero znacznie później zobaczyłem też górny Hamilton, „Uppertown”. Wyjeżdża się doń serpentyną na wysoko leżący płaskowyż; różnica poziomów sięga co najmniej stu metrów. Downtown leżało w dolnym tarasie tego olbrzymiego uskoku terenu, ciągnącego się „milami” i przechodzącego w odległości kilkudziesięciu mil w wodospad Niagara.

W Downtown oglądnęliśmy Operę, gmach Filharmonii i Teatru, którymi Kanadyjczycy bardzo się chlubią. Irena pokazała nam, jak tu dojechać autobusem za „quartera” (25 c), co ja zrozumiałem jako zachętę do czynienia samodzielnych wycieczek do miasta.

W tej sielance wytrzymałmy dwa dni. Obciążanie gospodarzy naszą obecnością było dla nich z pewnością uciążliwe mimo posiadania rozmaitych domowych robotów („machines” – akcent na „i”), dla nas krępujące – a nam spieszyło się też do domodzielności. Załadowawszy tedy nasze rzeczy do samochodu, poprosiliśmy Irenę o zawieszenie do hotelu. Był taki Motel przy Main Street West – dla obcokrajowców; właścicielką była pani Czajkowska. Tu najęliśmy tymczasowo pokój (zawsze jakieś były wolne) i poczuliśmy się wreszcie całkiem swobodnie. Tuż obok stał przy Main Street spory pawilon, w którym zamerykanizowani Wietnamczycy uprawiali handel wszystkim (zapewne opium też tam można było nabyć). Ale a propos: co będziemy palić? I tu Irena pomogła nam dobrać gatunek i „moc” papierosów do naszych upodobań (sama też paliła). Mnie jednak szybko przestały odpowiadać; kupiłem więc tutki, maszynkę i sam napełniałem tytoniem, którego asortymentów było pod dostatkiem. Była także „Amphora” (w Polsce – szczyt marzeń do fajki) i to w co najmniej dziesięciu gatunkach:

o smaku śliwkowym, wiśniowym itd. w tym, oczywiście, również o smaku „pewekxowskim”, jaka i u nas była dostępna za dewizy.

Irena również pomogła otworzyć konto w pobliskim Banku (róg Main i Whitney & Main) i tam przychodziła moja pensja: po potrąceniu stałych opłat i podatków – np. płaci się w Kanadzie dwa: stanowy i federalny – dla nas przypadało około 1100 dolarów miesięcznie.

Dość szybko „namierzyła nas” Polonia Kanadyjska. Pewnego dnia zadzwonił telefon i rozmówczyni – nie znana nam dotąd pani Kieraszwiczowa – upewniwszy się że to my, zaprosiła nas na „party” oświadczając, że będzie jeszcze kilka innych par. W oznaczonej porze przyjechał po nas Kieraszwicz i zawiózł do nich, do domu. Zaczęło się od „soft drinków” (whisky z lodem & „soda”), po czym nastąpił obiad. Towarzystwo zajmowało się wyłącznie politykowaniem i pytaniami „jak się teraz żyje w Kraju?” Wszyscy opuścili Kraj przed pięć do trzydziestu laty i mieli dość mglisto – gazetowe pojęcie o tym, co się tam aktualnie dzieje i chętnie nadstawiali uszu na nowiny. Wprawdzie nie byliśmy z Różą politycznymi emigrantami, ale przez tych trzydzieści kilka lat zdążyliśmy zapoznać się trochę z reżimem – także od stron dokuczliwych.

Z biegiem czasu poznaliśmy u Kieraszwiczów sporo nowych ludzi, z pośród których warto wymienić Zosię i Michała Bielawców (on: kardiochirurg z tytułem profesora Białostockiej AM, pracował w hamiltonskiej Klinice jako laborant, ona: prawnik – mówiła o sobie, że jest „adwokaczką”; w Kanadzie nie pracowała), Zosię i Aleksego Antoszków (on: pracownik koncernu stalowego „StelCo”, ona: kierowniczka Biblioteki (Thodd’s Library) w McMaster), Danutę i Józefa Blondowskich (ona: pielęgniarka w McMaster Hospital, on: akwizytor), Antoniego Soczka (samotny, inżynier elektronik) – z nimi utrzymuję kontakty korespondencyjne do dziś.

Bielawcowie często zabierali nas swym samochodem na zakupy tygodniowe. Michał zawsze poznawał, kiedy Zosia udawała się „na rejs” w towarzystwie Róży; wnioskował o tym po świeżych zadrapaniach karoserii, ponieważ Zosia z reguły „nie mieściła się” między filarami mostów drogowych. Do oryginałów zaliczyć by trzeba Alka Antoszka. Człowiek na ogół spokojny, mający bardzo spokojną i przystojną żonę i dzieci, dobrze płatną pracę – podlegał przecież wołaniu prawdziwego, londonowskiego „zewu krwi”. Co najmniej raz do roku nachodził go rodzaj amoku – i wtedy porzucał dom, rodzinę,

wkładał ubranie traperskie, brał strzelbę i szedł w kanadyjską głusz. Znikał na tydzień lub dwa w całkowitym pustkowiu, spotykając niekiedy niedźwiedzia, czasem sarnę lub – co gorsza – skunksa, którego trzeba było okrażać szerokim łukiem, żeby go nie spłoszyć. Przestraszony – strzykał na kilka metrów straszliwie cuchnącą wydzieliną, co mogło się wydarzyć nawet we własnym ogródku. Strzelby nie używał, bo nie lubił zabijać zwierzyńy; służyła mu do „obrony koniecznej”, ale nie słyszałem od niego o takim wypadku. Wracał uspokojony, uśmiechnięty – zrównoważony.

Do oryginałów zaliczyć można również Shirley Williams. Z urodzenia Angielka, pracowała w Instytucie jako sekretarka. Ooo – w Kanadzie to duża różnica, czy się jest Angielką, czy Kanadyjką. Jeśli to pierwsze – mieszka się wówczas nie w Hamilton, lecz w Ancaster, pięknej willowej sypialni Hamilton. Z zachowania Shirley można było poznać, że należy do kasty braminów, nie pariasów. Niezwykle kompetentna, pisała na maszynie z szybkością nie wiele gorszą od drukarki komputerowej, była też bardzo uprzejma i pomocna każdemu. To Jim wykoncypował, że „w moim biurze” potrzebna mi jest maszyna do pisania; ona doszła do wniosku, że musi to być maszyna elektryczna i takąż dostałem.

W moim biurze wolno mi było robić wszystko. Przez dwa miesiące nie miałem żadnych zleceń ze strony Instytutu. Przychodziłem więc rano na ósmą i rzadko tylko udawało mi się uprzedzić przyjście Jima. Kiedy spotykaliśmy się w korytarzu, pierwszy pytałem go „How are you?” na co on odpowiadał niezmiennie „Just fine!” – i tak to trwało aż do naszego wyjazdu z Kanady. Pozornie zupełnie zdrowy Jim zmarł nieoczekiwanie dla nas w rok później – odszedł człowiek który był mi bardziej przewodnikiem i przyjacielem, niż szefem.

Pałem więc w moim biurze fajkę, paliłem papierosy i przyjmowałem gości instytutowych, których nie brakowało nigdy – najczęściej po nowiny – czasem po radę. Niekiedy z jakąś wieścią przychodziła również Mrs. Williams, która – nie lubiąc dymu – mrużyła nieco oczy. Ale jak bardzo go nie znosiła, dowiedziałem się pewnego razu. Widząc na naszym piętrze innych amatorów palenia, zacząłem przechodzić korytarzem z czymś tłącym się w rękę – a co gorsze – raz wszedłem do sekretariatu z fajką i jakimś komunikatem dla Shirley. Zanim otworzyłem usta, rzekła: „Listen, Joseph, u siebie możesz sobie palić, co chcesz. Ale nie wchodź mi tu ze śmierdzącą fajką, bo ja lubię świeże

powietrze! „ – Dududu, dududu... grzmiało jeszcze przez jakąś chwilę na ten temat. Bardzo przeprosiłem i zapewniłem, że będę pamiętał. Ten incydent nie przeszkodził nam w utrzymywaniu przyjaznych stosunków; wymienialiśmy listy jeszcze przez kilka lat po naszym powrocie do Polski.

W motelu spędziliśmy jeszcze Wielkanoc, która w tym roku wypadła dość późno – w początku kwietnia. Ustawiliśmy nasze święcone na długim stoliku i usiedliśmy po obu jego krańcach, na podłodze (nie było krzeseł). Częstowaliśmy się wiktuałami, kawą, ciastem i wspominaliśmy Święta w Kraju. Wszystko było porównywane i oceniane według tego, co w Kraju.

W trakcie oczekiwania na mieszkanie z prawdziwego zdarzenia, wybrałem się któregoś dnia do hotelu, w którym mieliśmy mieszkać, z pytaniem o warunki i termin najmu. Aby tam wejść, trzeba było dzwonić do „biura” administratorki, która zwalniała zamek elektryczny dokonawszy wpiery wywiadu, kto – lub do kogo – przychodzi. Pokój z kuchnią plus „bed – & bath – room” na czwartym piętrze miał kosztować 200 \$ (jedna piąta pensji!). Ponieważ dom stał na sporym wzgórzu, mieliśmy z okien szeroką panoramę widokową na las i częściowo na pobliski Ancaster. Dwuosobowy balkon wychodził na północ; w lecie słońce zaglądało nań zaraz po minięciu zenitu. Balkon ten był źródłem wspaniałych wrażeń kolorystycznych. Wczesną wiosną z okien rozpościerał się widok na daleki, dość głęboki i zalesiony parów. Nie rzadko jeszcze w marcu zdarzały się potężne zadymki śniegu. Grube płatki, doskonale widoczne na ciemnym tle lasu, smąpane były wichrem w najrozmaitszych kierunkach, co przypominało gigantyczne stada ptaków, dokonujących „manewrów” nad lasem. W lecie przy dobrej pogodzie, a dni takich nie brakowało, powietrze w Hamilton było mimo bliskości StelCo tak czyste, że barwy wieczornej zorzy zmieniały się wraz z kątem rozpraszania światła, przechodząc od barwy jasno – żółtej poprzez złoto do wiśniowej. Po zachodzie barwa nieba przybierała rozmaite odcienie lazuru i błękitu, aż do głębokiego granatu. Radość i ukontentowanie tymi zjawiskami były wówczas podwójne, bo obserwowane dwiema parami oczu. Ach, jaki byłem wtedy szczęśliwy, że mam Różę w pobliżu... Oboje byliśmy szczęśliwi; niekiedy trzeba było sobie o tym przypominać, bo „szczęśliwych chwil człowiek nie liczy”.

W naszym nowym „apartamencie” (bo tak nazywa się mieszkania hotelowe) nie było żadnych mebli. Do stałego wyposażenia należała lodówka (spora!), kuchnia elektryczna (gazu zupełnie nie było), w łazience wanna – wpuszczana w podłogę (co za wygoda!), szafy ścienne; nie było także stołu, stolika, żadnych krzeseł – nawet łóżka w sypialni! Na taką ewentualność byłem jednak przygotowany. Na parterze McMaster stały ogromne tablice z inseratami typu „kupię – sprzedam”. Istnieje ciągły ruch osobowy studentów i pracowników, zwłaszcza w przerwach między semestrami, i w tym czasie można tanio kupić wszystko.

Kupiłem więc (osobiście!) u pewnego Murzyna brakujące wyposażenie za jedyne 100 \$ – był w tym zbiorze stół do kuchni, stolik do pokoju, foteliki, dwuosobowe łóżko z materacem resorowanym wodą, ładny, niski, fornirowany stolik, który bardzo się nam podobał. Targowałem się długo z tym Murzynem nie tyle o te meble, co o murzyńskie totemy, które u niego widziałem i które mi się także podobały; stanowczo jednak odmówił sprzedaży, ponieważ miały charakter kultowy. Przywiozłem to wszystko przy koleżeńskej pomocy (Jim pożyczyl z Instytutu samochód ciężarowy z kierowcą) z miasta do nowego domu i po wtaskaniu rzeczy na IV piętro, odbył się poczęstunek na „zaliczenie roboty” (pod tym względem „przepisy” są wszędzie jednakowe). W krótkim czasie kupiliśmy z Różą w mieście nowe pokrycia na łóżko, na stolik oraz foteliki i na co tam jeszcze było trzeba. Gwoździe tapicerskie i potrzebne narzędzia kupiliśmy w „Hardware – Store”, nie zapominając też o butelce dobrej whisky (w „Liquor – Store”). Nazajutrz zabrałem się do roboty. Pozdejmo wałem stare obicia, przykroilem i poprzybijałem nowe. Mogliśmy już teraz prowadzić normalne życie domowe, a nawet przyjmować gości.

Zanim jednak zagospodarowaliśmy się na dobre, okazało się, że w „apartamencie” mamy robale – jakieś pajęczaki? – chrząszcze? Zaalarmowana administratorka przybiegła natychmiast, mocno zaniepokojona. Prosiła też o dyskrecję i zaraz – tego samego jeszcze dnia – sprowadziła ekipę desinsekcyjną. Insekty wytruto gazem (musieliśmy krótki czas spędzić w westibulu międzypiętrowym) – po czym sprawa uległa zapomnieniu.

Jeszcze śnieg leżał na ulicach, kiedy już piękna, słoneczna pogoda wyciągała nas na spacer. Na początku – ostrożnie – trasa biegła po śladach już rozpoznanych z okiem autobusu, idącego z pobliza domu

w kierunku McMaster i śródmieścia, a później zapuszczaliśmy się dalej w kierunku lasu i wzgórz, otaczających parów. Pół kilometra za Main Street kończyły się chodniki dla pieszych – kończyło się miasto; dalej z obu stron szosy były wprawdzie pobocza, ale bardzo wąskie nawet dla pojedynczego piechura; najwidoczniej nie używane – za miastem nikt piechotą nie chodził! Kiedy szliśmy oboje szosą, trzeba było podążać w ślady pierwszego piechura bacznie przy tym uważając, by nas nie potrafił samochód nadjeżdżający z tyłu. A mijano nas z szumem opon i warkotem silników. Zdumienie kierowców pewnego dnia objawiło się głośno, gdy zapędziliśmy się dość daleko i – po zatrzymaniu jakiegoś samochodu – zapytaliśmy o kierunki w rozwidleniu drogi.

Ciepłą porą przysiadaliśmy na szlaku, na którymś z kamieni przydrożnych i paliliśmy papierosy. Mieliśmy takie upatrzone miejsce, na którym przystawaliśmy chętnie, ale tylko do pewnego czasu. Kiedy wstaliśmy któregoś dnia, po kilku sekundach wypełznął spomiędzy kamieni wąż i szybko zniknął w trawie... widocznie zrobiło mu się chłodniej po naszym odejściu...

Przez kilka kolejnych dni Róża nasłuchiwała z domu jakichś odgłosów przez otwarte okno. Zapytywana twierdziła, że słyszy jakby warkot piły łańcuchowej, towarzyszący ścinaniu drzew. Ale wycinki na zboczach parowu nie prowadzono... Była tym dźwiękiem zaniepokojona – tym bardziej, że ja niczego nie mogłem usłyszeć. Aż tu pewnego dnia i mnie ten warkot doszedł. Postanowiliśmy sprawdzić, co się dzieje. Po dojściu do upatrzonego miejsca zauważyliśmy, że spod obuwia wyskakują jakieś duże owady, przypominające polskie „koniki polne”. Nie miały dwóch skrzydełek po bokach, jak nasze, lecz w tyle, złożone w półkolistą falbankę, rozpościerającą się w locie na kształt wachlarza; żółta „falbanka” miała dwie czerwone kryzy na obwodzie (cykady?). Ale z bliska stało się oczywiste, że to nie one wydawały ten dźwięk.

Słyszeliśmy od znajomych, że w najcieplejszym okresie przez las wędrują na południe stada kolibrów. Bardzo trudno je zauważyć, ponieważ są nadzwyczaj płochliwe. Możliwe, że to ich skrzydełka, poruszające się bardzo szybko, były źródłem tajemniczego dźwięku. U schyłku lata te odgłosy przestały być słyszalne.

Wszędzie – nie tylko w lesie – spotykaliśmy natomiast wiewiórki. Obeznane z miastem i ruchem samochodów, przebiegały w długich, szybkich susach przez Main Street (widzieliśmy to!), nawet w czasie

szczytu ruchu kołowego: nieruchomiały na sekundę na brzegu autostrady przed puszczeniem się w galop. Nie rzucały się do panicznej ucieczki na widok człowieka, zwłaszcza gdy przystanął; one też zastygały w bezruchu, świdrując go czarnymi paciorkami swych oczu na wylot.

Mówiono, że w lesie nad parowem można spotkać dziką, a i niedźwiedź może się przytrafić. Pasące się sarny widywaliśmy często. Czasami napotykaliliśmy na ślady rycia poszycia lasu, ale zwierząt nie spotkaliśmy nigdy. Bardziej obawialiśmy się spotkania z pociągiem kanadyjskim.

Telefon, oczywiście, też traktowany był jako artykuł pierwszej potrzeby. Na moje zapytanie w Instytucie powiedziano mi: „A, to najlepiej u Bella.” Dowiedziałem się więc gdzie mieści się Bell Telephone Company – oczywiście, w Downtown. Jak myślicie, ile czasu mogło zająć „załatwienie” telefonu i przydział numeru? Zanim odpowiem – najpierw przedstawię, jak to było.

Siedziałem więc w firmie na kanapie. Kiedy kolejka doszła do mnie wyjaśniłem, czego mi trzeba. Z otrzymaniem telefonu nie było problemów – oni od tego byli. Żaden „przydział” nie był potrzebny – telefon dostawało się od ręki. Pytali jedynie o mnóstwo szczegółów technicznych, o dodatkowe usługi, ale tych nie potrzebowałem. Wybraliśmy model. „Jaki ma być kolor?” – „Brown” odpowiedziałem na chybił – trafił. „Of course, brown” też był. „Stojący, wiszący?” itd. Sprzedawczyni na chwilę wyszła i wróciła z aparatem. Zapakowała w torbę i powiedziała: „w ścianie znajdzie pan gniazdko – wtyczka będzie pasowała. Linie uruchomimy za jakiś tydzień”. – Za tydzień?” – zdziwiłem się. Zrozumiała moje pytanie opacznie i szybko mi tłumaczyła, dlaczego to zabierze tyle czasu. Na koniec dała mi telefon i od razu numer do nas.

Nie kosztowało to wszystko ani centa. Firma pobierała jakąś małą opłatę za dzierżawę telefonu, który przy odjeździe trzeba było zwrócić. Wtyczka rzeczywiście pasowała, telefon rzeczywiście był głuchy. Jednak po paru dniach już można było do nas dzwonić: „five – two – five – seven – two – seven – one”.

Oczywiście, wprawdzie zadzwoniliśmy do domu. Do wszystkich krajów funkcjonowały centrale automatyczne z pośredniczącym udziałem satelitów – tylko nie do Polski. Aby zadzwonić z Hamilton do Wrocławia, trzeba było wprawdzie wywołać „operatora” linii, który

pomagał we wszelkich kłopotach telekomunikacyjnych. W słuchawce słyszało się porozumiewanie się operatorów, póki rzecz się działała na terenie Kanady; potem telefon milknął i odzywał się ponownie po kilkunastu minutach. Rozmowy („kontrolowane”) z naszymi chłopcami zawsze nas wprawiały w stan głębokiego poruszenia, ale na dłuższą metę uspokajały.

Nieodzowny do kupienia był również zegarek dla Róży, radio, komputer... Nie wszystkie zakupy były udane. Tak było z zegarkiem i sandałkami, tak było i z komputerem.

Na zakup zegarka Kieraszewiczowie zaciągnęli nas do jednego z magazynów, „gdzie było taniej”. Wybrany przez Różę model rzeczywiście nie kosztował wiele, ale też odmierzał czas z dokładnością zegara słonecznego, co było widać już na drugi dzień. Oddaliśmy go do sklepu i odzyskaliśmy gotówkę<sup>32</sup>.

Postanowiliśmy sami rozglądać się za zegarkiem. W Downtown był sklep o egzotycznej nazwie „Kanadyjskie Kopalnie Złota”, który prowadził również sprzedaż zegarków i biżuterii. Po obejrzeniu szeregu modeli wybraliśmy zegarek firmowy z kilkoma łożyskami szafirowymi. Zamknięty był w złotą kopertę, a gwarancja obejmowała cztery lata. Kosztował trzy razy tyle, co poprzedni, ale nie mieliśmy z nim najmniejszych kłopotów.

W sklepie „SONY” nabyliśmy radiomagnetofon stereo tej firmy. Posiadał kilka zakresów fal krótkich o dużej dyspersji i dwa wmontowane w obudowę mikrofony; można było nagrywać na taśmę wszystko, czego się słuchało. Prawdziwym przeżyciem było, gdy z taśmy przywiezionej z Kraju popłynęła muzyka Czerwonych Gitar – wspomnienia z tamtej strony globu przypłynęły falą. Co by jednak nie powiedzieć o aktualnej rzeczywistości w Polsce, to był to nasz Kraj, z tkwiącymi w nim naszymi korzeniami. I nie liczył się zacofany i obcy ustrój, i zakichana władza – która przecież – w to w głębi ducha nikt nie przedstawiał wierzyć – była sekundą zaledwie na przestrzeni dziejów. Dobrze jest pojechać za granicę, oglądać jak gdzieś indziej ludzie żyją – a zwłaszcza – jak pracują, zarobić trochę pieniędzy – ale też doświadczyć, że poza swoim Krajem nigdzie nie będziesz uważany naprawdę za swego. U tych, co z kraju wyjechali dawno, problem powrotu wraca periodycznie – „chcieliby, a boją się”; problem jednak pozostaje, a z upływem czasu nawet się powiększa. To nie tak dawno obca nam i zadufana w sobie władza ośmielała się wyrzucać ludzi z Kraju z paszportem

jednorazowego przekroczenia granicy i bez biletu powrotnego. Tymczasem żaden człowiek na świecie nie ma takiego prawa, by drugiego człowieka pozbawić jego Ojczyzny.

Radio dawało jeszcze i drugą frajdę: chwytałyśmy Wolną Europę! Mimo kolosalnego oddalenia od Monachium, mimo makabrycznego zakłócania – przecież mieliśmy wiadomości. Z odbiorem było bardzo rozmaicie: czasem lepiej rozumiało się odbiór na falach najkrótszych, czasem na „średnich falach krótkich” – to zależało od bardzo wielu czynników, nie zawsze możliwych do sprecyzowania. Niekiedy w ogóle nie mieliśmy odbioru.

Kiepsko wypadł zakup sandałków dla Róży. Taiwańskie, ładnie zdobione. kosztowały zaledwie – powiedzmy – 4.50 \$ (za buty męskie trzeba było dać 60 – 200 \$, za damskie: 80 – 400 \$). Róża zrobiła w nich dosłownie kilkadziesiąt kroków, kiedy wypruł się jeden z mocujących pasków. Nie chciało nam się wracać do magazynu zwłaszcza, że spostrzeżliśmy „zakład reperacji obuwia”. Siedzący tam człowiek w fartuchu solidnie przyszył, coś tam jeszcze przyklepał i policzył sobie... dolarów 5!

W końcu przyszła kolej na zakup komputera. Czekałem na ten moment dość długo: komputer trzeba było wpierv wybrać. W znajomej firmie dostałem prospekt amerykański tego sprzętu, który aktualnie wchodził na rynek (Kanadyjczycy nie fabrykowali komputerów). Zdecydowałem się na model TRS – 80 między innymi z tego powodu, że mógł pracować również w trybie rachunku maszynowego za pośrednictwem osobnego pakietu wkładanego do przewidzianego portu. Komputer w tym trybie pracował jeszcze 10 – 50 razy szybciej od BASIC’a, co mnie bardzo interesowało; importem z USA zajęła się firma. Musiałem też uskładać całkiem nie małą sumę (ponad 400 \$).

Po miesiącu przesyłka nadeszła i wtedy zaczęła się nauka programowania, testy szybkości i grafiki – miałem pełne ręce roboty.

Zadziwiające, jak wielu jest w Kanadzie młodych ludzi, pozbawionych pełnej sprawności fizycznej ruchu i pracy. Zwróciło to naszą uwagę w czasie licznych pieszych wędrówek do śródmieścia. Można wśród nich rozpoznać ofiary choroby Heine – Medina, czasami są to ofiary wypadków – ale to nie tłumaczy chyba niezwykajnie dużej liczby takich przypadków. Myślę, że w jakiejś mierze są wśród nich także ofiary błędów genetycznych. W każdym razie całe Miasto, włącznie z McMaster, Operą, komunikacją miejską i innymi szacownymi Instytucjami nastawione jest na przychodzenie im z pomocą: a to



windami, a to podjazdami dla wózków inwalidzkich – istnieją nawet specjalnie przystosowane budki telefoniczne z poszerzonym podjazdem i ze słuchawką w zasięgu ręki człowieka siedzącego. Przyczyny sporej liczebności tych nieszczęść skrywane są przez Kanadyjczyków podobnie, jak i kwestia Indian i ich losu; pytań na te tematy nie należy stawiać Kanadyjczykom.

W czasie wędrówek po mieście czasem przystawałem w miejscach robót publicznych, jako jeden z „gapiów”, co mi się w Kraju nigdy nie zdarzało. Kiedy wichura powaliła drzewo, przyjeżdżał duży samochód ciężarowy z dźwigiem i piłą tarczową. Na miejscu rozcinali gałęzie na krótkie kawałki, pod siatką i – po zamieceniu miejsca pracy – od razu wywozili. Mieli też piły tarczowe, zapewne zaopatrzone w koronki diamentowe, do cięcia płyt chodnikowych dla naprawy pękniętej rury wodociągowej; kilof był tam narzędziem nieznanym. W podobny sposób wymieniano fragmenty trawnika w ogródkach domowych (każdy dom otoczony był ogródkiem); na samochodzie znajdowały się gotowe już kawałki trawnika odpowiedniej wielkości. Wstawiano je w wycięte, prostokątne zagłębienia i polewano wodą. Miejsce pracy, czy to w ogródku, czy na ulicy, było starannie sprzątane. Niewątpliwie miało to związek z tym faktem, że na ulicach i placach nie było kurzu! Dość często wiał wiatr i ku mojemu zdziwieniu zupełnie nie przenośli kurzu.

Domy z reguły opalane były mazutem, który dostawca przywoził w lecie, kiedy cała rodzina przebywała na wakacjach, i wlewał zamówioną porcję do podziemnego zbiornika. Wszystkie domy mieszkalne posiadały tzw. „basement” (pomieszczenie piwniczne), o wystroju salonu. Było to latem najchłodniejsze pomieszczenie, nie wymagające klimatyzatora, zaopatrzone w telewizję, radio, książki, barek... Tam odpoczywali Kanadyjczycy w najbardziej upalne dni, tam również latem przyjmowano gości.

Biblioteka McMaster prenumerowała czasopisma nie tylko kanadyjskie, ale też prasę zagraniczną – w tym także polską. Mieli nawet „Kulturę Paryską!” Pochylałem się w Czytelnicy niemal z wypiekami na twarzy nad każdym nowym zeszytem, ponieważ wypożyczać nie było wolno. Siedziałem tam w niektóre dni do późnego popołudnia, kiedy poza mną i kierowniczką Biblioteki, Zosią Antoszek, nikogo już nie było. Drugą, podobną Bibliotekę, trudno było by znaleźć: to dla mnie specjalnie sprowadzała Zosia jakieś druki, a nawet zaprenumerowała rzadziej czytane czasopisma, których potrzebowałem.

W domu prenumerowaliśmy tygodnik w polskim języku, wydawany przez Polonię oraz kanadyjski „Spectator” (80 – 100 stron druku codziennie!). Wiadomości były często dramatyczne, co musiało się jakoś odbijać w mojej minie, bo napotkany w korytarzu naszego piętra Morrison pytał: „Co, nie ma listu z Kraju? Nie martw się: no news is good news!” – dodawał.

Róża prowadziła pracowity żywot: gotowała obiady, zajmowała się praniem (pralki i suszarki były do dyspozycji gości hotelowych w osobnej pralni), uczyła się angielskiego, haftowała na zielonej kanwie serwetki do stolika, do mojego biurka – także do wrocławskiego domu. Urządzała też przyjęcia domowe dla naszych znajomych. Tu przynajmniej nie było kłopotów z zaopatrzeniem: nieprzebrane ilości mięs, wędlin, serów, patroszonych ptaków – jak na Zachodzie. Znacznie mniej było ryb z wyjątkiem tuńczyka w puszcze; poza tym były drogie (w zamian za to bywały ślimaki).

Angielskiego uczyła się niemal na końcu świata. Pierwszą wizytę w Centrum Dydaktyki złożyliśmy razem: należało poznać lektorkę, zapisać Żonę na kurs, itd. Od miejsca zamieszkania do Centrum trzeba było dwa razy zmieniać autobus, płacąc za bilet tylko raz. Tej opłacie patronował kierowca: odliczone centy wsypywało się do sporej, przezroczystej skrzyni, otrzymywało się bilet (przy „przesiadce”), ale pieniędzy nikt nie przeliczał. Pasażerowie na przystanku wchodziłi i wychodzili „gęsiego” przednim wejściem i każdy nowo przybyły musiał coś do skrzyni wrzucić. Kierowcy kanadyjscy, w przeciwieństwie do naszych, byli ludźmi „z kontaktem”. Raz jeden z nich powiedział do mnie na przystanku końcowym w McMaster: – „Czas na papierosa jeszcze przyjdzie. A teraz, kto chce jechać niech wsiada, bo ruszamy”.

Lekcje odbywały się kilka razy w tygodniu. Miała więc Róża sporo zajęcia z powtarzaniem słówek, pisaniem testów, a nawet problemy z... kosztowaniem potraw, przygotowywanych przez kursantów. Był bowiem taki zwyczaj, że raz w tygodniu któraś z nich przynosiła do „klasy” poczęstunek, przygotowany według przepisów regionalnej kuchni. Pół biedy, gdy częstowały kobiety niemieckie lub rosyjskie, ale przysmaków hinduskich, czy azjatyckich nie mogła wziąć do ust...

Mnie też absorbowały różne zajęcia. Zabrałem z sobą egzemplarz mojego skryptu dla studentów pt. „Kryształy Molekularne”, wydany przez Politechnikę z myślą, że – mając w Kanadzie dużo wolnego czasu – przygotowuję wydanie książkowe i gdzieś może uda się to upchnąć

do druku. Przygotowałem „próbkę” tekstu i poprosiłem Jima o przeczytanie. Ale on mi odradził wystąpienie z publikacją całości – mają tu dość sporo podręczników z fizykochemii ciała stałego – powiedział – i jeszcze jeden, nowy, nie będzie się dobrze sprzedawał. „Diamagnetyzm” wraz z optyką tych kryształów są mniej znane i zaproponował przetłumaczenie wybranych części skryptu. Postanowiłem więc, że całość spróbuję wydać w Kraju, w PWN – ie, a w Kanadzie przygotuję angielskie tłumaczenie diamagnetyzmu, dokładając podstawy teoretyczne i metody pomiarowe oraz uzupełnienie literatury do najnowszej. Ale – jak dla wydawcy na Zachodzie – mój angielski nie był dostatecznie dobry<sup>33</sup>. Jim doradził dokooptowanie jako współautora Roberta W. Munna, fizyko – chemika o światowej renomie. Zwerbowaliśmy Munna wspólnymi siłami i odtąd robota szła na cztery ręce. Munn dodał również rozdział o rodzącej się wówczas sprawie – nieliniowej optyce tych kryształów, czym sam się zajmował. W Kanadzie doświadczyłem, że praca dwóch autorów, działających w prawie przeciwnych punktach globu i potrzebujących ciągłego niemal kontaktu, może przebiegać szybko i harmonijnie. Prace nad obiema książkami, rozpoczęte w Kanadzie, kontynuowane były po powrocie do Kraju; plan udało się w pełni zrealizować<sup>34</sup>. Dla ciekawości: jak na taki „hermetyczny” temat, książka angielska sprzedawała się dobrze przez kilka lat. Wiley rozkolportował ją na kraje Europy Zachodniej i Amerykę Północną. Co roku dostawałem szczegółowy raport kasowy; honorarium przyznane każdemu z autorów sięgało kilku procentów wartości każdej sprzedanej książki (ok. 8%). W sumie otrzymałem ponad 600 GBP, co – po przeliczeniu na złotówki – blisko trzykrotnie przewyższało honorarium, przyznane mi przez PWN za drugą książkę o trzykrotnie większej objętości!

Obok realizacji własnych zamysłów brałem udział w pracach Instytutu. Zgłaszało się doń szereg osób z podaniami o przyjęcie; przyjmował ich, oczywiście, dyrektor Senior Sciences, prof. Morrison. Przyszedł do mnie kiedyś i powiada: „Zgłaszają się do pracy różni ludzie: o jednych coś wiem, o innych – nic” (miał na myśli emigrantów z Europy Środkowo – Wschodniej). – „Kandydatom z krajów słowiańskich będziesz mi pisał rekomendacje”.

Masz babo placek! To była bardzo trudna i delikatna sprawa. Na szczęście, tych rekomendacji nie było zbyt wiele.

Drugie zadanie przyszło do mnie „z importu”. Dwaj nieorganicy napisali podręcznik z Chemii Ogólnej i w tym czasie otrzymali z drukarni wydruk do korekty; poszukują kogoś, kto by im te 600 stron przeczytał i naniósł poprawki. Zastrzegłem się, że moje poprawki nie będą tyczyć gramatyki zdania angielskiego – zgodzili się. Dużą pomocą w tej robocie okazał się słownik angielszczyzny kanadyjskiej (jest taka!), który nabyłem w składnicy Salvation Army za jedyne 50 centów!<sup>35</sup> Z jego pomocą sprawdzałem ortografię lub nieznanym mi kontekst użycia niektórych słów. Literówek było w czytanej tekście dość sporo; wychwyliłem także garść błędów merytorycznych, a raz – ku mojej skrytej uciechu – musieli przeredagować cały akapit. Autorzy przysięgli, że mi przysłażą do Wrocławia egzemplarz ich dzieła, ale nigdy nic takiego nie nadeszło.

Trzecim wreszcie zajęciem, które zaczęło się we wrześniu a skończyło w lutym następnego roku, były konsultacje dla studentów z zakresu Chemii. To było bodaj najtrudniejsze. W bibliotece Senior Sciences istniało spore pomieszczenie, podzielone przepierzeniami na „boxy”. Był box z napisem „Mathematics”, był z „Physics”, była też „Chemistry”. W każdym dyżurował pracownik przez cztery godziny trzy razy w tygodniu. Przychodzący studenci zaczynali zwykle od tego, że witali się z tobą kordialnie przez uścisk ręki. Różnym ludziom i różnym rasom trzeba było te ręce ścisnąć (po pewnym doświadczeniu zakładałem moje do tyłu). Po powitaniu siadali wygodnie i wykładali swoje buciory na górny brzeg oparcia następnego krzesła. We mnie aż bulgotało! Teraz wyłuszczały swój problem, często nie zupełnie kanadyjską angielszczyzną i prosili (z tym też różnie było), żeby pomóc im ruszyć z miejsca w którym utknęli. Najczęściej były to zadania rachunkowe lub problemy obliczania wyniku w laboratorium. Sprawiali takie wrażenie iż oczekują, że to ja będę koło nich chodził i że im całą sprawę wyłożę.

Kilka razy tak rzeczywiście było; rozmyślałem jednak stale, co można z tym fantem zrobić (bez obrazu studentów) i wymyśliłem rzecz następującą. Najpierw czekałem grzecznie, aż student się usadowi, wyłoży nogi i problem. Następnie pytałem: „No, dobra, ale zanim odpowiem na twoje pytanie powiedz mi, co ty sam w tej materii zrobiłeś?” Wstawał (jego buty już miałem na właściwym miejscu), i – opowiadając o tym, jak próbował zagadnienie rozwiązać – w dziewięciu przypadkach na dziesięć stukał się w pewnym momencie

pięścią w głowę i wykrzykiwał: „Ależ ze mnie idiota! To trzeba było...” – tu następowała opowieść – po czym dodawał – „Thank you, thank you very much!” Uf, odczuwałem znaczną ulgę.

Na początku mało kto przychodził. W połowie września jednak frekwencja skokowo wzrosła (egzaminacje poprawkowe!), w drugiej połowie przychodził już tłum. Stawiali mi pytania nie tylko z chemii, ale i z fizyki, a nawet z chemii organicznej. Nikomu nie odmawiałem porady; początkowo pytałem, czy specjalistyczny box jest zamknięty? – „Nie” – odpowiadali – ale oni woleli tutaj przyjść”. Zmieniłem zdanie o studentach kanadyjskich.

Od dawna – właściwie od początku naszego pobytu – zastanawialiśmy się z Różą, czy wypożyczyć w Hamilton samochód? Kupować nie mieliśmy zamiaru. Wprawdzie używany pojazd można było kupić za cenę 1000 \$ – a nawet niżej – i objechać nim Kanadę dookoła (może rok by wystarczył). Co z nim jednak potem zrobić? Deliberacje te nie trwały zbyt długo, bowiem wobec konieczności nostyfikacji prawa jazdy, uciążliwości z olbrzymim ruchem kołowym, a także kłopotów z prowadzeniem powszechnie używanych pojazdów o sporych gabarytach, daliśmy sobie z tym spokój. W końcu nasz pobyt w Hamilton miał być wytchnieniem od wrocławskiego kieratu przy możliwie małej liczbie stresów. Poza tym istniała też możliwość wypożyczenia samochodu na dalekie wycieczki.

Tak też zrobiliśmy, pożyczając wóz wspólnie z naszymi znajomymi z Motelu, naukowcami z Krakowa. Wybraliśmy się rano nad wodospad Niagara. Na wycieczki tu nikt nie zabiera z sobą prowiantu, ponieważ dosłownie wszędzie istnieją możliwości zjedzenia czegoś przyzwoitego za niewielkie pieniądze. Wodospad widać było, oczywiście, już z daleka. Wzdłuż rzeki biegnie granica ze Stanami. Kanadyjski brzeg rzeki jest ciekawszy od sąsiedniego, ponieważ wszędzie jest bliski dostęp do rzeki i jej przełomu. Z amerykańskiego brzegu samo miejsce przełomu jest niedostępne – akurat w tym miejscu wpada spory dopływ. Idąc bulwarem, można oglądać taras dolny, wodospad, lustro rzeki i górny taras. Uwagę przyciąga maleńki stateczek wożący pasażerów, który pod pływa tuż – tuż do kurtyny wodnej; w silnym prądzie powoli zawraca i zmyka w dół rzeki co sił w śrubie. Człowiek chłonie ten widok z taką intensywnością, jakby miał nie jedną, lecz kilka par oczu: jedną na teraz, a drugą na jutro, kiedy go tu już nie będzie.

Na wyższym tarasie podchodzi się nad samo lustro wody; widać, jak rzeka – niosąca wodę czystą, jak źródłana – coraz szybciej zmierza ku przepaści, przyspieszana raptownym obniżaniem się dna rzeki. Mniej więcej w połowie wysokości uskoku wykuty jest w skale krużganek, biegnący w poprzek rzeki tuż przy ścianie wody; można z niego zobaczyć – a również i usłyszeć – ogrom spadającej wody. Kupując wejściówkę na krużganek, otrzymuje się w garderobie płaszcz gumowy z kapturem, szczelnie zapinany i wysokie buty gumowe. Ryk wody w ganku kończącym się barierką ochronną jest tak przeogromny, że ludzkiego głosu nie słychać – to, co mamy sobie do powiedzenia, trzeba powiedzieć wcześniej. Wszystko dokoła ocieka wodą, łącznie z naszymi płaszczami; to skutek osadzania się całych kilogramów wody, rozpylonej na małe kropelki, unoszące się w powietrzu. Trudno jest oderwać oczy od tej scenerii – budzi ona jednocześnie zachwyt i grozę.

Nad Niagarą byliśmy raz jeszcze, kiedy przyjechał Włodek. Celowo pojechaliśmy po południu, ponieważ wieczorem wodospad oświetlony jest dziesiątkami potężnych reflektorów z osłonami z kolorowego szkła. Powoduje to zupełnie inny wygląd wodospadu: samą rzekę widać słabiej, za to wodospad jest jednym wielkim strumieniem kolorowego światła. Miliardy rozpylonych kropli tworzą wspaniałą łuk tęczy. Jakby i tego było jeszcze mało, widzi się jaskrawe światło przyciółków rzeki: to złodowacenia, pozostałe jeszcze po minionej zimie, dają potężne, również kolorowe, rozproszenia. Może jest w tym widoku trochę teatralnej sztuczności – wolałem oglądać go w porze słonecznej.

Mieliśmy w McMaster wizytę fizykochemika z Kingston – nazwiska nie pomnę. Wstąpił także do mnie, ponieważ pamiętał mnie jeszcze ze swojej podróży do Polski. Przyjechał wtedy na zaproszenie Sobczyka, wygłosił referat, po którym Sobczyk wydawał obiad w Panoramie. Rozmawialiśmy dość sporo o Kanadzie; zaprosił mnie do wygłoszenia referatu w Kingston, uzgodniwszy sprawę z Jimem. Miasto leży również nad Ontario, oddalone na południe jakieś 200 km od Hamilton, czyli „za miedzą” w skali odległości kanadyjskich. Pojechaliśmy tedy z Różą któregoś dnia na bilet kolejowy z ponagląjącym nadrukiem GO! Można było jechać czymkolwiek, co akurat było „pod ręką”: pociągiem, autobusem – sławnym „GREYHOUNDEM”; w takim autobusie jesteś pod opieką konduktora, który ma obowiązek troszczyć się o ciebie, a w razie potrzeby nawet bronić – jak głosi naklejone obwieszczenie. W pociągu zaś – zapewne w każdym – zamykane są na klucz przez

konduktorów wszystkie drzwi, a schodki wejściowe chowane są do środka. Nie ma mowy, by ktoś dał rady dosiąść wagonu w biegu, a tym bardziej wtargnąć do niego z pędzącego konia. Po przyjeździe do stacji konduktorzy, posługujący się radiotelefonami, nie tylko otwierają dostęp do wyjścia, lecz pomagają pasażerom przejść po schodkach, wynieść bagaż a nawet sprowadzają bagażowych. Byliśmy tam trzy dni, mieszkając w hotelu. Pierwszy dzień poświęcony był akomodacji, drugi referatowi, po którym nastąpił wieczorny obiad z udziałem Rady Instytutu. Był on równie długi i nudny, jak obiad z Senatem w Rennes po moim doktoracie honorowym (o ile pamiętam, podawano także ostrygi<sup>36</sup>). Po przyjęciu wracaliśmy z Różą piechotą do hotelu, odprężeni i beztroszy, jak dwa szczygiełki. Widząc po drodze jakąś restaurację, wstąpiliśmy na kieliszek wina. Podano nam całą butelkę. Ponieważ smakowało, zabraliśmy resztę z sobą i opróżnili w hotelu. Było nam niewiarygodnie dobrze z sobą.

Najbardziej osobliwe w tej wyprawie jest jednak to, co wydarzyło się później. Na moim referacie był także fizyk z Poznania, który mnie znał. Zaprosił nas do swego domu. W rozmowie i kolacji uczestniczyła jego żona i ich kilkuletnia córeczka. To dziecko – widząc mnie po raz pierwszy w życiu (i zapewne ostatni) – wdrapało mi się w pewnym momencie na kolana i oświadczyło w twarz: „ja ciebie kocham”... Byłem do głębi wzruszony, uściskałem ją serdecznie i zapewniłem, że odwzajemniam jej wrażenia. Zdumieni tym zdarzeniem rodzice dziewczynki zapewniali nas, że ona takich deklaracji nie zwykła składać. Do dziś widzę tę scenę – jak by wydarzyła się wczoraj...

Ostatniego z tych popołudni zwiedziliśmy Krainę „Tysiąca Wysp”, do czego nakłonił nas ów znajomy profesor. Odwiozł nas do przystani, w której cumował mały statek pasażerski. Na pokładzie był, na szczęście, także bufet – byliśmy głodni. Kurs trwał parę godzin, a trasa była bardzo malownicza. Późnym popołudniem wróciliśmy do Hamilton.

Zboczem po drugiej stronie parowu, który widać było z okien naszego mieszkania, prowadziła linia kolejowa, dość żywo uczęszczana. Za plantem kolejowym znajdowała się autostrada. Zarówno kolej, jak i autostrada, były głównymi liniami komunikacyjnymi Hamilton – Toronto z ogromnym udziałem zaopatrzenia towarowego. Autostradą pędziły nie tylko samochody osobowe, ale i wielkie „trucki” z przyczepami, dla których nasze „Tiry” – to zabawki. Trucki kursowały tylko w nocy. Kiedy miasto kładło się spać, z pobliskiej autostrady

powietrze przenosiło nieustanny warkot ciężkich pojazdów zwłaszcza, że pod górę jechały na niższych biegach. Różę nękały te hałasy do późnej nocy; rankiem nie można było dospać ze względu na zajęcia. Ale na ten hałas – poza szczelnym zamknięciem okien i ew. zatyczkami do uszu (serio!) – nic więcej nie można było poradzić.

Dalej jeszcze znajdował się mały placyk, otoczony budynkami supersamów. Na tym placu („University Plaza”) zostawiali swe samochody ludzie idący na zakupy; gdy jednak szedł ktoś do sklepów pieszo, zwykle korzystał ze znacznie krótszej ścieżki (nielegalnej, ale nie zamykanej), której odcinek był plantem linii kolejowej. Ten odcinek był tym bardziej niebezpieczny, że piechur zaskoczony nadejściem pociągu, nie miał się gdzie schować: plant był położony na wysokim i stromym nasypie. Toteż każdy pociąg, zbliżający się do tego miejsca zwalniał do szybkości tramwaju, ryczał przeraźliwie syreną, a nadto jeszcze maszynista walił gęsto co sił w zawieszony na spalinowozie potężny dzwon. O wypadkach raczej nie słyszeliśmy. Myśmy też z tej trasy korzystali, nie ryzykując jednak w zimie – wybieraliśmy wówczas dłuższą trasę wzdłuż szosy.

Były upalne, czerwcowe dni. Kiedy o trzeciej po południu wracałem z McMaster, z asfaltu aż dymiło. Przechodząc przez Main Street „defilowało się” przed maskami stojących na światłach samochodów, od których aż żar buchał na przechodnia; wydawało się, że na chodniku panuje miły chłód. Czasem Róża wychodziła na przeciw – wówczas do domu wracaliśmy trochę inną drogą. Jeszcze chłodniej było w domu, kiedy przed obiadem – a po prysznicu – zasiadał człowiek w fotelu ze szklanicą chłodzonego soku grapefruitowego. Niebem ciągnęły czasem piękne, białe chmury, kontrastujące z jasnym lazurem nieba, czasami zaś ciągnęły chmury ciemne, nabrzmiałe deszczem i elektrycznością – grzmiało. Przechodzące burze były gwałtowne, z częstymi piorunami, dużym hukiem i potężną ulewą. Można by rzec, że cała Przyroda była w Kanadzie bujna, a przez to i gwałtowna – ludzie zaś byli spokojni.

Niedzielną porą wracaliśmy raz u pewnego z wycieczki, ubrani w cienką sukienkę i jasne spodnie z koszulą; trzeba było przejść w dół zboczem, przez tor kolejowy. Deszcz wisiał w powietrzu, pioruny były. Róża przeszła szczęśliwie przez tor, gdy nagle ryknęła lokomotywa pędzącego pociągu, całkiem blisko. Co zrobić? Przecież nie zostawię jej samej „po drugiej stronie?” Przeskoczyłem szybko przez tor, ale w tym hałasie nie zwróciłem uwagi na druty sygnalizacji kolejowej,

biegnące w trawie, nie widoczne. Zahaczyłem o nie stopą i rymnąłem w dół, zatoczywszy głową łuk grubo przewyższający ćwierć okręgu. Pociąg, dudniąc i rycząc, przeleciał tuż koło mnie; Róża wróciła ratować, gdy wtem lunęła prawdziwie tropikalna ulewa. Biegliśmy w kierunku kilku budynków, okalających mały placyk, ulewa była jednak szybsza – przemoczyło nas do skóry, zanim dobiegliśmy. Na próżno – w budynkach były zaledwie ślady okapów, nie dające podczas wichury żadnego schronienia przed deszczem; w dodatku wszystko było pozamykane. Na szczęście z okna nad sklepem jakiś człowiek obserwował nasze poczynania i z trudem dał się namówić (z użyciem języka „migowego”) do otwarcia swojego kiosku. Prócz gazet sprzedawał napoje, aspirynę itd. Zdaje się, że nasz atak na kiosk potraktował dosłownie. Prawda, że oboje wyglądaliśmy niecodziennie: Róża przemoczona, z potarganą czupryną, ja zaś z obtartymi nadgarstkami i pokaleczonym nosem. Na dobrą sprawę – uciekinierowie! Uspokoił się dopiero, gdy zobaczył dwudziesto dolarowy banknot – na szczęście mieliśmy pieniądze. Zrobił nam kawy i zamówił taksówkę. Wyraźnie jednak odetchnął z ulgą, kiedy nas się pozbył. A i my byliśmy zadowoleni, że już jedziemy do domu.

Z tym wszystkim byliśmy szczęśliwi – dynamiką życia – szczęśliwi tym, że jesteśmy razem, często uśmiechnięci – rzadko-nachmurzeni. Byłem szczęśliwy, że została mi dana możliwość – łaska raczej – dzielenia się z Nią tym wszystkim, co bez Niej już by tak nie smakowało. Wiem, co mówię, bowiem mam porównanie: kiedy wyjeżdżałem wcześniej sam do Francji lub Anglii (krótkie wyjazdy, robocze) – bardzo mi Jej brakowało. Dzwoniłem wówczas do domu, żeby choć usłyszeć Jej głos. Z jakąż niecierpliwością przemierzałem wtedy Kampus Uniwersytecki i śródmieście Rennes, by zamknąć się w budce telefonicznej i wykręcić wrocławski numer telefonu! Tutaj skupiło się wszystko na raz: środek naszego biologicznego życia, renesansowy okres naszego małżeństwa i stale jeszcze środek naszego wspólnego życia we dwoje. A zarazem był to okres naszego narzeczeństwa i podróż poślubna, których w rzeczywistości nie mieliśmy. Istniał, oczywiście, pewien przedział czasowy między danym sobie słowem a datą ślubu, ale w tym okresie widzieliśmy się zaledwie trzy lub cztery razy!

Nie dręczyły nas zmyry ani niedostatek – nawet komary nam nie dokuczały. Dręczyła nas nostalgia za domem i naszymi chłopcami. Jak by to było dobrze mieć tutaj chociaż jednego z nich! Po

deliberacjach doszliśmy do wniosku, że trzeba próbować ściągnąć Włodka. Niech chociaż on trochę zazna życia za Oceanem. Planowaliśmy wspólny powrót na końcu okresu stypendialnego.

Z takim postanowieniem trzeba było wpieryć się do Immigration Office, wyłuszczyć sprawę, udokumentować finansowanie pobytu i porozmawiać z urzędnikiem. W sprawie tej była też i frajda zupełnie mi dotąd nie znana: można się było całkowicie wypiąć na zdanie „władz wronich”. Formalnie biorąc, mogli Włodka nie wypuścić z Kraju – ale wtedy myśmy też mogli podnieść krzyk. Immigration Officer wszystko pooglądał, postawił szereg pytań i zdawało się, że nic przeciw całej sprawie nie ma. Jednak co chwila wychodził, wracał, znowu wychodził, w dodatku radio ciągiem coś gadało – całkiem przypominało mi to przesłuchanie na UB we Wrocławiu, któremu raz zostałem poddany „na okoliczność podpisania protestu”. W końcu jednak zgodę dał i Włodek przyleciał do Toronto w listopadzie 1982. Ten sam Włodek, który we wrocławskim domu mawiał, że „z dań mącznych najbardziej lubi kotlet schabowy”, a o aktorce amerykańskiej Lizie Minelli mówił z przekąsem (nie lubił jej): „Lajza, to ona może i jest, ale z talentem się minelli”. Czekaliśmy na niego na lotnisku w Toronto samochodem, który prowadziła Małgosia Antoszek (córka). Dzień był mglisty, lało i wszyscy byli w nienajlepszych humorach. Włodek przeprawił się ze swoim workiem marynarskim przez wszystkie bramki i przeszkody i pierwsze słowa, które powiedział, brzmiały: „I po co ja tu przyleciałem?”.

Taki nastrój panował w domu przez kilka dni. Dogadzaliśmy mu różnymi smakołykami, wychodziliśmy razem do miasta – później sam się wybierał – ale to wszystko niewiele pomagało. Nawet komputer go nie interesował. Trwało to tak do czasu, gdy poznał naszego znajomego, Antoniego Sączka.

W pewnym sensie obaj byli elektronikami. Antoni studiował przed wojną i znał się dobrze na elektronice „lampowej”: prowadził w Hamilton mały warsztat naprawczy sprzętu elektronicznego, z którego żył. Ale elektronika lampowa właśnie wychodziła z mody, a nowością była elektronika półprzewodnikowa, mająca o wiele więcej możliwości, między innymi miniaturyzacji sprzętu. Dla przyszłości fakt ten miał kolosalne znaczenie – nie tyle w tzw. „mediach”, ile w technice cyfrowej, która się właśnie rodziła. Tej nowej elektroniki już się Antoś nie nauczył, a ludzie przynosili mu do naprawy zarówno sprzęt stary,

jak i nowy. Włodek elektronikiem jeszcze nie był. Aby przyjechać tutaj musiał wystąpić do Dziekana o przerwę w studiach i otrzymał tak zwany „urlop dziekański”. O nowej elektronice wiedział jednak o wiele więcej od Antosia; nie bał się jej i miał także niebywałą zręczność w palcach. Do jakiego stopnia zaś był wtajemniczony w umiejętność czytania skomplikowanych schematów – o tym za chwilę. Na razie było widoczne, że wiadomościami i umiejętnościami są komplementarni. Antoś dał zatrudnienie (nieformalne) Włódkowi w warsztacie, liczba naprawianych aparatów wzrosła i Antoś co miesiąc jakiś banknot Włódkowi podrzucał. Zaprzyjaźnili się. Właściwie należało by powiedzieć, że Antoś bardzo Włódka cenił i lubił i traktował go jak własnego syna, którego nigdy nie miał. Kiedy Włodek pojawił się w Kanadzie po raz drugi, Antoś przemierzył swoim samochodem setki kilometrów po to tylko, żeby się z nim spotkać i zjeść razem obiad.

A drugi raz znalazł się Włodek w Kanadzie w związku z przynależnością do Klubu Żeglarskiego (Wrocław). Jedna z załóg Klubu popłynęła morskim jachtem z naszego wybrzeża do Toronto (Ontario) i wróciła do Kraju samolotem. Druga zaś załoga, w której znalazł się Włodek, miała jako zadanie przyprowadzić jacht do portu macierzystego, po uprzedniej podróży samolotem do Toronto (jesień 1984). Załoga, złożona z sześciu żeglarzy i kapitana wracała do Kraju szlakiem: Toronto – Rochester – Kingston – rzeka św. Wawrzyńca – (łącznie ok. 1000 km na terenie Kanady) – Atlantyck (3 tyg.) – Falmouth (Anglia)<sup>37</sup>. Na Atlantyku pogodę mieli fatalną: w połowie podróży dopadł ich sztorm o sile huraganu. Łupinka tańczyła na morzu jak opętana, w wyniku czego uległo zerwaniu górne zamocowanie masztu. Przyczepiony na samym szczycie masztu Włodek naprawiał uszkodzenie, zataczając wraz z nim 90-cio stopniowe łuki, jeden człowiek sterował – reszta zajęta była wyczerpywaniem wody lub mocowaniem fruujących jeszcze po kadłubie przedmiotów. Włodek nigdy mi tego nie powiedział wprost – myślę jednak, że było wówczas z nimi krucho – po prostu walczyli o życie.

Do Kraju przyjechał Włodek z Anglii używanym samochodem, kupionym za 100 funtów; nie dość, że miał kierownicę po prawej stronie (!), to jeszcze była dziura w podłodze – w miejscu, gdzie spoczywają buty kierowcy! Samochód ten zawiózł sam, osobiście do komory celnej we Wrocławiu; ledwie się zgodzili przyjąć ten pojazd w miejsce cła.

Za udaną przeprawę przez Atlantyck uzyskał stopień sternika morskiego (rok 1985).

Z przybyciem Włódka praca w warsztacie Antoniego nabrała nowych rumieńców: przyjmowano do naprawy także i ten sprzęt, który poprzednio był odrzucany. Włodek zaś znalazł interesujące go zajęcie i nastroje się poprawiły. Oglądał nawet mój komputer i jego instrukcję, zawierającą schemat elektroniczny (który uważniej przestudiował), ale ciągle nie zdradzał zainteresowania. Ni stąd ni zowąd, któregoś dnia zapytał: „Słuchaj tata, chciałbyś mieć komputer o dwa razy większej pamięci?” No pewnie, że chciałem. O ile pamiętam, TRS – 80 miał pamięć o wielkości 400 Kb, podwojenie jej znacznie zwiększałoby jego możliwości. Producent wspominał w instrukcji o takiej możliwości, traktując ją jednak jako „rozwojową, w przyszłości”. Włodek spytał jeszcze czy się zgadzam, żeby coś ze skrzynki wyciąć. Naturalnie – zgodziłem się.

Do roboty zabrał się, kiedy nas nie było w domu. Rozkręcił obudowę i nożyczkami dokonał przecięcia dwóch drucików, między które wlutowany był maleńki kondensator, blokujący dostęp do połowy pamięci, która przecież w komputerze już tkwiła! Złożył wszystko razem („żadna śrubka nie została”) i uruchomił: komputer nie tylko chodził, lecz pamięć maszyny była rzeczywiście dwa razy większa!<sup>38</sup>

Na tym się jednak nie skończyło. Włodek orzekł, że „klocki” pamięci można by wymienić na nowocześniejsze, o jeszcze wyższej pojemności, ponieważ zdolność adresowa mikroprocesora na to pozwala. Posługując się ogłoszeniami w prasie, zamówił klocki w USA. I przyszły! Dostaliśmy zawiadomienie z Urzędu Celnego w Hamilton o paczce do odebrania – trzeba było zapłacić cło. Kiedy jednak dowiedzieli się, że pracuję w McMaster i komputer służyć ma do celów naukowych, odstąpili od pobrania cła na ustne oświadczenie! Nie mogliśmy wyjść z podziwu, że coś takiego może się zdarzyć. Wymiana starych klocków na nowe trwała jeszcze krócej i komputer znowu podwoił pamięć, przekraczając 1 MB! W ten sposób doszliśmy do posiadania zmodyfikowanego TRS – a w tym czasie, w którym to dopiero zapowiadano w ulotkach reklamowych.

Oboje z Różą zachowywaliśmy stoicki spokój, ale wewnątrz każdego z nas aż kipiało z radości, że mamy tak niebywale uzdolnionego syna. Właściwie już wtedy zaczęła w nas kiełkować myśl, że jedynym miejscem zatrudnienia Włódka może być Silicon Valley w Stanach.

O takiej możliwości myślało się ze strachem, ponieważ łączyła się z koniecznością emigracji. Rozmyślałem również samotnie o tej sprawie, przypominając sobie mój własny życiorys. Jako miejsce pracy wybrałem Wrocław, ponieważ nie czułem się usatysfakcjonowany tymi możliwościami, jakie oferowano mi w Krakowie. Oznaczało to wspaniałą przygodę, ale także i opuszczenie gniazda rodzinnego, którego wspomnienie wracało do mnie przez całe życie. Do takich rzeczy nie można nakłaniać własnych dzieci. Mój Ojciec przecierpiał jakoś moje odejście, ale z pewnością nie przyszło mu to łatwo – nigdy mnie jednak do tego nie zachęcał. Nawet moje parokrotne nalegania, by pojechał ze mną do Wrocławia i obejrzał mój sposób życia, kwitował powiedzeniem: „Może kiedyś... może kiedyś” – i nigdy do tego nie doszło. Myślę więc, że oboje z Różą pogodzilibyśmy się w końcu z ewentualną emigracją Włodka, ale namawianie go do tego, a nawet dyskusja takiej sprawy z Różą – to było ponad moje siły...

Mało kto zwraca uwagę na fakt, że wielką tragedią ludzkiego losu obok skończoności jego żywota jest jeszcze i to, że człowiek pragnie zachować przy sobie te istoty, które najbardziej kocha: własną żonę i dzieci. I nigdy mu się to w pełni nie udaje.

Poruszane tu sprawy sięgają głęboko w coś, co można by nazwać „modelem życia”, często przejmowanym od pokolenia starszego na zasadzie „tradycji”. Poza kwestią wiary, która została zdeterminowana, zanim jeszcze zyskaliśmy świadomość wyboru, a także obok kwestii obyczajów, których trzeba raczej się nauczyć niż wybrać, moi chłopcy mieli tę swobodę. Sami wybierali szkoły, o których mieli dobre wyobrażenie i chcieli do nich chodzić, sami wybierali kierunki studiów i związane z nimi później zawody, sami wybierali również swe żony i czas zawierania małżeństw. W niektórych aspektach Włodek zapewne cieszył się (?) dalej posuniętą tolerancją, niż Krzysztof; jednak rodzice nie rodzą się od razu fachowcami od wychowania dzieci i tego procesu kształtowania młodych charakterów sami muszą się nauczyć.

Czas powrotu zbliżał się nieubłaganie. Nadchodził początek stycznia – a to już była pora do rezerwacji miejsc na podróż, która powinna nastąpić z końcem tego miesiąca. Tymczasem wizyta w kanadyjskim biurze podróży wykazała, że już jest za późno: aż do początku lutego nie ma wolnych miejsc w samolotach LOT – u. Zagadnięty przeze mnie Jim o przedłużeniu stypendium dwukrotnie rozłożył ręce: po pierwsze, stypendium obejmowało tylko jeden rok

i ani jednego dnia dłużej; po wtóre: komu udało się zostać (legalnie!) w Kanadzie choćby o jeden dzień ponad rok, ten nabywał prawa ubiegania się o stały pobyt. Napisałem tedy prośbę do Rektora z wyjaśnieniem sprawy – nie odmówił. Może przypomniał sobie sytuację sprzed kilku miesięcy, kiedy rozpisal między pracowników Uniwersytetu kwestę na jakiś zbożny cel, a myśmy z Różą pierwsi zareagowali – za co dostaliśmy odeń pisemne podziękowanie.

Kontrakt najmu mieszkania też wygasał w styczniu; powróciliśmy zatem do Motelu, gdzie witała nas ponownie pani Czajkowska. Należało jeszcze zapłacić podatek od uposażeń kanadyjskiej Izby Skarbowej. Ponieważ oświadczenie podatkowe miało rozmiar A4 i grubość małej książeczki oraz zawierało szereg zawiłości (miałem je w ręce!) – wolałem zwrócić się odpowiednio wcześniej do biura pośredników, którzy parali się naliczaniem i płaceniem podatków w obu urzędach, stanowym i federalnym, z opieką prawną nad podatnikiem włącznie! Podawało się im potrzebne parametry, łącznie z adresem domowym w Polsce (!) i wystawiało upoważnienie. Jeśli będzie nadpłata – twierdzili – przyślą ją do Polski; jeśli będzie niedopłata lub jakaś kara – brali ją na siebie. Wykonanie zlecenia i przekazanie odpowiedzialności kosztowało w sumie 50 \$; mogłem się na to zdobyć, nie licząc przy tym zanadto na wystąpienie nadpłaty, a jeszcze mniej na przekazanie jej do Polski.

O podatkach zapomnieliśmy zaraz na drugi dzień, wciągnięci w wir czynności i zdarzeń, towarzyszących powrotowi. Przypomniało o nim dopiero pismo, jakie otrzymaliśmy we Wrocławiu po upływie wielu tygodni. Było to zawiadomienie z Banku Dewizowego, że na nasze konto wpłynęła suma dwustu kilkudziesięciu dolarów kanadyjskich. Nie do wiary, ale jednak Biuro rozliczeń podatkowych wykonało swe zobowiązanie. Ta całkiem wymierna suma wyniknęła stąd, że jeśli dochody były podstawą utrzymania nie jednej, lecz dwóch osób, przysługiwały ulgi podatkowe. Okazało się więc, że towarzystwo Żony prócz radości, przynosiło również korzyści.

Tymczasem była jeszcze pora, żeby wydać dwa przyjęcia pożegnalne: w domu, dla znajomych i przyjaciół oraz na piętrze fizykochemicznym w McMaster dla szefostwa i pracowników Instytutu. Wszyscy bardzo żalowali, że to już musimy wyjeżdżać, namawiali na pozostanie, wyrażali obawę o nasze losy w PRL – ale rozumieli, że chcemy wracać do Ojczyzny. Nawet całkiem nieznanymi ludziami, jak urzędnicy kana-

dyjskiego biura podróży, czy w Kwesturze, wątpili czy to dobrze, że teraz chcemy wracać.

Dzięki uprzejmości administratorki, która zaprowadziła nas na dach kilkunastopiętrowego hotelu po zapadnięciu zmierzchu, mogliśmy oglądnąć panoramę „Hamilton by night”. A było na co popatrzeć...

Nocą jawił się Hamilton, jak pięknie zaplanowany medalion, bogato inkrustowany jasnymi plamkami świateł. Paciorki latarni ulicznych, rozłożone z geometryczną pedanteria wzdłuż linii prostych, wyznaczały ulice Miasta. Od razu też można było rozpoznać Main Street West, przy której mieszkaliśmy, jako jedną z osi głównych medalionu: biegła hen, aż – zdawało się – po horyzont. Przecinała ją Ulica Główna Północna. A z miejsca ich przecięcia wyrastało śródmieście, zajmujące niewielką część Miasta, zabudowane wysokościowcami – tu mieściły się biura, urzędy... Pozostała część medalionu zawierała sieć ulic, o kierunkach narzuconych biegiem ulic głównych i topografią Miasta (wzgórza, rzeki, jeziora, linia kolejowa...). Obraz nieustannie skrzył światłami; widać było doskonale, jak samochody o rozmiarach maleńkich zabawek gromadzą się w pobliżu skrzyżowań ulicznych. Pojazdy oddalające się od nas migły czerwonymi światłami, ilekroć kierowcy naciskali hamulce, a zbliżające świeciły snopami białego światła. Co jakiś czas te dwukolorowe sznury ruszały, gdy zmieniało się pasmo ruchu – skrzyżowanie pustoszało na chwilę na tym kierunku. Widok był tak fascynujący, że w ciepły letni wieczór można tam było siedzieć godzinami.

Ostatni tydzień pobytu spędziliśmy w pobliżu Montrealu, zaproszeni przez młodszą gałąź rodziny Przyborskich – znajomych z Hamilton. Już spakowani, pojechaliśmy koleją do jakiejś małej miejscowości, skąd zostaliśmy zabrani do goszczącego nas domu. Od samego początku było to pasmo przyjęć, wizyt – byliśmy (nie ładnie to powiedzieć) w jakimś stopniu „eksponatami”.

Odbyliśmy także wycieczkę samochodową do Montrealu. Już z odległości kilku kilometrów widać olbrzymią zatokę, utworzoną ujściem rzeki Św. Wawrzyńca do Oceanu. Oglądając port i dwujęzyczne napisy (angielsko – francuskie) na szyldach sklepów wracaliśmy już, gdy Róża spostrzegła zakład fryzjerski po drodze. Rychło też odkryła, że właściciel nosi polskie nazwisko, więc postanowiła zajrzeć do zakładu dla poprawienia fryzury; ja zaś – paląc papierosa – rozglądałem się po okolicy. W pewnym momencie

właściciel wyszedł na zewnątrz, zaciekawiony przybyszami. Okazało się, że to mój student! Z sympatią wspominał okres studiów we Wrocławiu – nawet i to, że egzamin u mnie oblał w pierwszym terminie...

W tym rozgardiaszu przyjęć i drinków, przywitań i pożegnań znaleźliśmy się – nie wiedzieć kiedy – na lotnisku, z bagażem już nadanym: tylko wsiąść i odlecieć – co też się stało.

Warszawę rozpoznaliśmy od razu – nie tylko dzięki widokom z lotu ptaka, ale również przez brak papieru toaletowego w wydzielonych miejscach publicznych. Nic jednak nie mogło nam popsuć radości spotkania z naszymi synami, którzy oczekiwali nas samochodem w Hali Przylotów. Mimo już jednej nieprzespanej nocy prowadzili samochód bez odpoczynku, w drugą noc: tym razem – już w komplecie – wracaliśmy do Domu.

## 11. Zakończenie

Latem 1999r. Róża zdecydowała się na operację oczu, zmierzającą do zmiany soczewek; widziała coraz gorzej wskutek pogłębiającego się ich zmętnienia. Ale przedtem trzeba było przejść szereg badań lekarskich, do których należało również prześwietlenie rtg klatki piersiowej. Powtórzenie potwierdziło, że na jednym płucu tworzy się narośl wielkości śliwki. Zamiast na operację oczu, skierowano ją na Oddział Onkologiczny w szpitalu przy ul. Grabiszyńskiej. Zaczęto całą serię badań, między innymi Róża dwukrotnie przeszła bronchoskopię. O ile mi wiadomo, w próbkach pobranych z obszaru płuc nie stwierdzono obecności ani prątków, ani komórek rakotwórczych. Diagnoza brzmiała: narośl, ale nie złośliwa. Zaproponowano Różę usunięcie zainfekowanego płata płucnego. Rozmawiałem z nią na ten temat; ze względu na niejednoznaczność diagnozy oboje byliśmy operacji przeciwni. I to był błąd. Gdyby w tym czasie Róża poddała się operacji – być może mogła by żyć jeszcze znacznie dłużej.

Róża została skierowana do specjalistycznej Kliniki Chorób Płucnych w Obornikach Śląskich. Wyniki przeprowadzonych tam badań również nie były jednoznaczne. Po powrocie do Szpitala przy ul. Grabi-